

ADAM DZIERŻEK

NA
BIAŁYM
KONIU

Copyright © 2023 ADAM DZIERŻEK
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © 2023 WYDAWNICTWO INITIUM
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: DAGMARA ŚLĘK-PAW

Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ

Projekt okładki oraz DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Fotografia wykorzystana na okładce:

DAVE WALL / ARCANGEL

WYDANIE I

ISBN 978-83-67545-52-5



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

Druk i oprawa: DRUKARNIA OPOLGRAF

ADAM DZIERŻEK

NA
BIAŁYM
KONIU



KRAKÓW 2023

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nikt, kto puka o tak późnej porze, nie przynosi dobrych wieści. Matka zawsze mi to powtarzała.

Przecieram oczy i wlepiam wzrok w ciemny korytarz. Pukanie jest głośne, natarczywe. Przypomina szturm antyterrorystów – choć tamci mieliby przynajmniej tyle przyzwoitości, by poczekać do szóstej rano. Ten ktoś na klatce najwyraźniej dobija się już od jakiegoś czasu.

Po krótkiej chwili dociera do mnie, że siedzę w fotelu przed telewizorem. Nie przeniosłem się do łóżka. Ostatnio zdarza mi się to coraz częściej. Szumi mi w głowie, ale gdy kątem oka zerkam na stojące na stoliku piwo, widzę, że nie wypilem nawet połowy.

Pukanie nie ustaje, zmienia tylko częstotliwość. Z walenia typu „Otwierać, policja!” przechodzi w tryb błagalny: „Proszę... Otwórz...”.

Podchodzę do drzwi. Najpierw zerkam przez judasza, ale to jakby spojrzeć w oczy ciemności we własnej osobie. Ktokolwiek był po drugiej stronie, stał tam wystarczająco długo, żeby aktywowane czujnikiem ruchu światło zdążyło już zgasnąć.

Serce bije coraz szybciej. Pamiętam słowa matki.

Krew odpływa z kończyn. Dłonie robią się chłodne jak dwa bloki lodu. Łapię za klamkę i zamieram w bezruchu.

W końcu otwieram, choć zamontowany łańcuch sprawia, że moja gościnność ogranicza się do niewielkiej szpary, zza której wyglądam jednym okiem.

Wylana z mieszkania luna niebieskiego światła wydobywa z ciemności sylwetkę mężczyzny w długim trenczu, który wygląda jak przybysz z lat czterdziestych ubiegłego stulecia. Ocieka wodą, musiało lać. Chwilę zajmuje mi zrozumienie, że szum, jaki nieustannie słyszę, nie pochodzi z mojej głowy – to szalejąca za oknem ulewa.

– Spałeś? – pyta mężczyzna. W tych ciemnościach nie jestem w stanie dostrzec jego twarzy. Błyszcząca kałuża wody pod nim wygląda, jakby się zeszczał. – Walę w drzwi od dobrych dziesięciu minut. Już myślałem, że cię nie ma.

– Oglądałem telewizję – odpowiadam, oglądając się za siebie, jakbym szukał potwierdzenia własnych słów.

– Mogę wejść?

Kojarzę ten głos. Mrużę oczy, żeby lepiej przyjrzeć się twarzy tego podróżnika w czasie. Cienkie siwe włosy kleją się do czoła. Krople wody spływają w dół policzków i wypełniają głębokie zmarszczki, wyglądając jak deszcz nawadniający wyschnięte koryta rzek. Z ostro zarysowanego podbródka kapie jak z nieszczelnego kranu.

Znam go. To Szeryf.

– Pan Makowski? – pytam chyba tylko dla formalności, gryząc się przy tym w język, żeby nie wymówić na głos jego ksywki. Wątpię, by ją znał.

– To jak będzie, młody? Wpuścisz mnie?

Nie odpowiadam, otwieram tylko szerzej drzwi i odsuwam się na bok. Szeryf słusznie bierze to za zaproszenie. Przez

chwilę stoimy w ciszy, mierząc się wzrokiem jak dwa mijające się na ulicy psy. Z każdym kolejnym gorącym oddechem Szeryfa w moim mieszkaniu zaczyna cuchnąć jak w gorzelnii. Gdybym teraz zapalił fajka, pewnie obaj wylecielibyśmy w powietrze, dając miastu przedwczesnego sylwestra. Szeryf ma mokre oczy, nie jestem pewien, czy to deszcz, czy łzy.

– Wiedziałeś? – pyta rozedrganym głosem, w taki sposób, że ze stresu aż skręca mnie w żołądku.

Udaję zaskoczonego, ale chyba domyślam się, o co chodzi. Nie odpowiadam. Przez chwilę patrzę, jak ciężkie krople wody kapią z płaszcza na posadzkę. Szeryf też to zauważa, nagle jakby trzeźwieje i robi się mu głupio.

– Sorry za to – rzuca zakłopotany. – Mogę gdzieś odwieźć płaszcz? Zaraz będziesz miał tu powódź.

Skinieniem wskazuję mu wieszak na korytarzu. Szeryf ściąga mokre ubranie i bez pytania wchodzi do pokoju. Chciałbym go powstrzymać, ale nie wiem, co powiedzieć, więc nie reaguję.

– Tak mieszkasz? – Rozgląda się po mojej trzydziestometrowej kawalerce. Wydaje się już trochę bardziej wyluzowany. Skacze wzrokiem po meblach, próbując wyłowić z ciemności jakieś szczegóły: goły materac na podłodze, skotlowana pościel, biurko, fotel i kiczowato wielki telewizor. – Brakuje tu kobiecej ręki – zauważa po chwili, siląc się na delikatny uśmiech. – Gdyby moja Krysia to zobaczyła... – Nagle milknie, nim głos na powrót zacznie się mu załamywać.

Wciąż pamiętam panią Krysię, choć z każdym kolejnym rokiem jej twarz przykrywa coraz gęstsza mgła. Zawsze koja-

rzyła mi się z czystością i potrafię sobie wyobrazić jej reakcję na widok mojego pokoju. Była jedną z tych osób zdolnych zamiatać nawet piasek na pustyni. Pochowali ją w śnieżnobiałej sukni. W trumnie wyglądała jak porcelanowa lalka.

Szeryf zerka na stojące na stoliku napoczęte piwo.

– Masz coś do picia? – pyta.

– W sensie, że...

– W sensie, że coś mocniejszego.

Kiwam głową i podchodzę do lodówki. Świeci pustkami. W środku tylko kilka piw i resztki wczorajszej pizzy. Odkap-slowuję dwie butelki Corony, jedną podaje Szeryfowi, z drugiej biorę soczystego łyka. Zimny napój trochę mnie rozbudza.

– Tylko takie szczyzny? – pyta Szeryf. – W ogóle wolno ci już legalnie pić? Ile ty masz lat?

Nie odpowiadam, unoszę jedynie brew w akcie niedowierzania.

– No tak... Jesteś przecież w jej wieku. Wybacz, dla mnie już chyba zawsze będziecie tymi gnojkami ganiającymi po ulicy i wrzeszczącymi między podwórkami. – Bierze łyk piwa, po czym ogląda etykietę, jakby szukał informacji o procentach, zaskoczony niską mocą. – To skoroś taki już dorosły, to lekcja dorosłego życia numer jeden: przerzuć się na szlachetniejsze trunki. Piwo jest dobre dla licealistów albo robotli. Ty jesteś komputerowcem, na pewno stać cię na wino albo whisky. Od piwka tylko rośnie brzuch. Cholerstwo jest strasznie moczopędne, odwadnia, a źle to wpływa na trawienie.

Szeryf pije dalej, najwyraźniej nie przejmując się trawieniem, a ja zastanawiam się, jak doszło do tego, że stoi w moim mieszkaniu o tak późnej porze.

Chyba nie mogę mieć mu tego za złe. Za dzieciaka przebywałem w jego domu pewnie częściej niż we własnym. Ani razu nie poczułem się niemile widziany. Trochę tak, jakbym miał dwie rodziny. Może zaciągnąłem w ten sposób dług, który właśnie przychodzi mi spłacać?

Deszcz bębni o parapet, wiatr na zewnątrz wydaje się przybierać na sile. Zrywane z drzew liście przyklejają się do szyb, jakby desperacko próbowały dostać się do środka, nim natura rozpęta na zewnątrz prawdziwe piekło.

Szeryf wciąż rozgląda się po mieszkaniu, jakby czegoś szukał. W końcu zrezygnowany siada na materacu.

– Czemu tak żyjesz? – pyta, klepiąc w poźółkły mebel. W słoneczny dzień ujrzelibyśmy tumany kurzu wzbijające się w powietrze. – Myślałem, że ci się powodzi. Nie masz nawet ramy do łóżka, nie można tak spać.

Można. I mam ramę, tylko nigdy jej nie złożyłem. Fragmenty tkwiły wciśnięte gdzieś głęboko za szafę. Opuściłem, gdy tylko zobaczyłem w instrukcji, że będzie mi potrzebny śrubokręt. Nie miałem w domu żadnych narzędzi ani umiejętności, żeby ich użyć. Dlatego nigdy nikogo tu nie zapraszałem. Ludzie zawsze oceniają cię już od momentu, jak postawią pierwszy krok na twojej ziemi. Szukają czegokolwiek, co sprawi, że pocują się lepsi. U mnie mogli tego czegoś znaleźć całe mnóstwo.

– Gdybyś miał tu kobietę – kontynuował – nie pozwoliła by ci tak mieszkać, wiesz? Ech, Karol. Taki porządny z ciebie chłopak, nie wiem, czemu dalej mieszkasz sam...

Ale ja wiem. Ręka mimowolnie wędruje mi do prawego policzka. Wyczuwam zgrubienie pod opuszkami palców

ciągnące się od powieki aż do kącika ust. Blizna wije się jak strumień. Chirurdzy zrobili, co mogli, ale policzek był tak poharatany, że nie udało się go w pełni zrekonstruować.

Do dziś pamiętam, jak zobaczyłem w lustrze zwisający mi z twarzy płat mięsa przypominający plaster szynki i to, jak na ten widok zemdlałem. Nóż przeciął mięśnie podtrzymujące usta, przez co prawy kącik nieco mi opada i wiecznie wyglądam na niezadowolonego. Przez uszkodzony kanalik łzowy mam do tego ciągle wilgotne oko.

Taki mój pełen obraz – wiecznie niezadowolony i zapłakany dwudziestoczerolatek. Kobiety to kochają.

– Panie Makowski, jutro idę do pracy. Będę musiał wcześniej się zerwać... – mówię, próbując zmusić Szeryfa do współczucia. Domyślam się, po co przyszedł, ale nie mam najmniejszej ochoty o tym gadać.

– Wiem, wiem... Ja przecież też. I nie panuj mi tu. Układ dorosły–dzieciak już się przeterminował. Teraz obaj jesteśmy dorośli. Ryszard jestem. Rysiek. – Wyciąga przed siebie dłoń, czekając, aż odwzajemnię uścisk. Odwzajemniam, ale czuję, że celowo ściska mnie mocniej, niż musi, więc sam też wkładam w to więcej siły. Niczym nie różnimy się od zwierząt. Ciągła walka o dominację w stadzie.

– Rysiek – wyduszam z siebie, choć wiem, że ciężko będzie mi się przyzwyczać do tej nowej rzeczywistości. – Coś się stało?

Szeryf zeruje piwo, po czym odkłada pustą butelkę na stolik, robiąc mi tam już zaczątki małej kolekcji. Grzebie w tylnej kieszeni spodni i wyciąga zwitek przemoczonego papieru.

– Włączysz laptopa? – pyta, podając mi miękką kartkę. – Muszę ci coś pokazać.

Kruchy świstek niemal rozpada mi się w dłoni. Zerkam na adres strony internetowej nabazgrany długopisem – dokładny adres, z masą cyfr i znaków. Dziwi mnie, że ktoś w ogóle fatygował się z przepisywaniem, zamiast po prostu skopiować link i wysłać, choćby mailem, ale Szeryf chyba nigdy nie zaprzyjaźnił się do końca z technologią.

Nazwa domeny mówi mi wystarczająco, żeby nagle zrobiło mi się bardzo głupio. Czuję przyływ gorąca na twarzy. Wszystkie obawy się potwierdziły. Sposób, w jaki spytał mnie, czy wiedziałem...

– Musisz to wklepać na komputerze. – Szeryf nie patrzy mi w oczy, błądzi wzrokiem po zatrzymanym na ekranie telewizora filmie. – To link czy jak wy to nazywacie.

Nie chcę tego robić, ale nie chcę się też przyznać, że wiem, do czego to wszystko prowadzi.

– Panie Ma... Rysiek – poprawiam się. – Jest już późno i jestem zmęczony. Czy musimy...

– Proszę, Karol. – Odwraca się na krótką chwilę. Widzę, jak łzy ciekną mu po pomarszczonej twarzy. – Otwórz ten jebany link...

Odpalam laptop i starannie przepisuję do przeglądarki adres z kartki. Serce wali jak szalone, pocę się pomimo panującego w pokoju chłodu. Dookoła gęsta cisza. Jedyne szum deszczu za oknem i stukot klawiszy mojej wysłużonej klawiatury jakoś ją przelamują.

Zanim wcisnę *enter*, ostatni raz oglądam się przez ramię. Szeryf stoi odwrócony, sztywny i napięty jak struna. W ogóle

nie patrzy na to, co robię. Cicho pociągając nosem, obserwuje krople deszczu sunące po szybie, jakby obstawiał, która dotrze do ramy pierwsza.

Otwieram link. Prowadzi do strony porno. Nie jest to żaden z popularnych portali. Strona wygląda tak, jakby samo nawigowanie po niej mogło zarazić maszynę jakimś paskudnym wirusem, a mi od jednego nieuważnego kliknięcia przysporzyć żółtaczki. Ale żadnych wirusów tu nie ma...

Wiem, bo już tu kiedyś byłem.

Czuję się niezręcznie. Wszystko mnie swędzi i mam wrażenie, że zaraz spalę się ze wstydu.

– Rysiek... Wiesz, co to za link?

– Otwórz filmik. – Głos szeryfa jest bardzo cichy, jakby stopniowo zanikał. – Musisz sam to zobaczyć...

– Ale to porno...

– Wiem, do cholery. Po prostu to odtwórz, OK?

Chcę mieć to już za sobą. Nie zadaję więcej pytań, bo nie potrzebuję odpowiedzi. Wciskam *play*. Film automatycznie odpala się na pełnym ekranie, co sprawia, że czuję się dziwnie. Brak interfejsu przeglądarki, brak reklam po bokach. Przez panującą dookoła ciemność nie widzę nawet obudowy laptopa. Tylko świecący ekran ulokowany gdzieś w przestrzeni. Wszystko staje się nagle zbyt intymne. Tylko ja i film.

I Szeryf gdzieś za plecami...

Pokazuje się odliczanie. Ekran śnieży i faluje jak na starych filmach, potem wszystko ciemnieje, by w końcu zacząć się na dobre.

Początkowa scena ukazuje mi brudną piwnicę. W środku nie ma nic oprócz pojedynczego, wysłużonego łóżka, wyglądającego na coś, na czym mogliby zimować bezdomni. Mokra plama na posadzce sugerują, że nie było to pierwsze ujęcie kręcone tego dnia. Nagle słychać szczeł zamka. Do środka wchodzi trzech mężczyzn, dwóch ma na sobie maski, trzeci pokazuje twarz. Ci w maskach wyglądają dziwnie, jakby nosili na sobie pyski trudnych do zidentyfikowania zwierząt. Za to ten z odsłoniętą twarzą wygląda zwyczajnie niezdrowo, jakby cierpiał na jakąś chorobę skóry. Mimo mizernej jakości widzę masę krost pokrywających mu twarz. Całą trójką rozglądają się dookoła, jakby sprawdzali miejscówkę, po czym tych dwóch w maskach wychodzi. Wracają po chwili, tym razem ciągnąc za sobą kompletnie nagą dziewczynę. Jest bardzo chuda, blada i posiniaczona. Ma związane ręce i przepaskę na oczach. Mężczyźni nie obchodzą się z nią delikatnie, jeden ją policzkuje, gdy zaczyna się wyrwać.

Gdy patrzę, jak tak stoi boso na betonowej posadzce, robi mi się zimno. Wszystko, co widzę, ma w sobie jakiś plugawy posmak, sprawiający, że każda normalna jednostka szukałaby teraz właśnie telefonu, chcąc zgłosić na policję nagranie z gwałtu. Jednak jest coś w tej scenie, co sprawia, że nie czuję odtrącenia, które normalnie towarzyszyłoby patrzeniu na ludzką krzywdę. A przynajmniej tak mi się wydaje, że powinno mu towarzyszyć...

Dziewczyna nie trzęsie się ze strachu i z zimna, nie krzyczy, nie płacze, nie błaga. Jestem prawie pewien, że gdy się potyka, po jej twarzy przelatuje błyskawiczny

uśmieszek, z rodzaju takich, jaki pojawiłby się u aktorki potykającej się w świetle fleszy na czerwonym dywanie. Facet bez maski ściąga jej opaskę. Chwyta ją za szyję i gwałtownie wpycha język do ust. Chybotliwa kamera robi zbliżenie na rozmazany na twarzy tusz do rzęs. Szafirowe oczy na bladej twarzy wyglądają jak dwa kawałki lodu wciśnięte w świeży śnieg.

Oczy, które poznam wszędzie. Zwłaszcza że pod jednym z nich ciągnie się blizna.

Blizna podobna do mojej...

Ekran nagle gaśnie, słyszę trzask. To szeryf zamyka laptop, nim akcja zdąży się rozkręcić. W pokoju robi się dużo ciemniej.

– Wiedziałaś? – pyta ponownie. Jego głos rezonuje w ciasnej kawalerce jak rozedrgana struna. Światło latarni zza okna, przebijające się przez żaluzje, rzuca mu na twarz pasiasty wzór.

Przez chwilę milczę. Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

– Karol, do kurwy nędzy. Wiedziałaś czy nie?

– Chodziły plotki, ale nigdy ich nie sprawdzałem... – kłamię. Tych filmów było znacznie więcej, choć nie wszystkie były tak paskudne jak ten tutaj.

– Plotki... – Szeryf zaczyna nerwowo przechadzać się po pokoju. – Kurwa, w pracy już od jakiegoś czasu dziwnie na mnie patrzą. Śmieją się za plecami. – Wrywa mi z rąk piwo i przywiera do butelki jak głodne niemowlę. Płacze.

Nie wiem, co powiedzieć. Sytuacja wydaje mi się tak abstrakcyjna, że przez chwilę mam wątpliwości, czy tak napraw-

dę nie zasnęłam na tym fotelu podczas filmu i to wszystko tylko mi się nie śni.

– Byłem z tym na policji. Wiesz, co te skurwiele mi powiedziały?

Przez chwilę czeka na odpowiedź, ale skąd miałbym wiedzieć?

– Że nic nie mogą zrobić! Że jest pełnoletnia i nie ma dowodów, żeby ktoś ją do tego zmuszał. Jestem pewien, że jebaniec, któremu to zgłosiłem, brandzłował się do materiału dowodowego, jak tylko wyszedłem z jego biura.

– Po co mi pan to wszystko pokazał? – pytam w końcu. Nie mam pewności, czy po prostu przyszedł się wygadać i wyplakać, czy chce ode mnie czegoś konkretnego.

– Co ja mówiłem o panowaniu? Dwóch dorosłych, zapomniałeś? – Uśmiecha się przez łzy. Próbuje się ze mną stuknąć butelkami, ale gdy uświadamia sobie, że wziął moje piwo, spuszcza wzrok. – Musisz mi pomóc, Karol. Musimy sprowadzić ją do domu.

– My?

– Jesteś jedyną osobą, która przychodzi mi do głowy. Byliście najlepszymi przyjaciółmi przecież. Jak tylko sięgnę pamięcią, byliście nierozłączni. W liceum chyba nawet siedzieliście w jednej ławce, nie?

Dla niego wciąż jest tą samą słodką dziewczynką, którą była jako dziecko, widzę to bardzo wyraźnie. Jakby uciekło mu te kilkanaście lat, w których jego córka dojrzewała.

– Nie miałem z nią kontaktu od pięciu lat... – odpowiadam zgodnie z prawdą. Po zakończeniu szkoły nasze drogi się

rozeszły, rozjechaliśmy się po świecie. Ja na gównie warte studia, ona w poszukiwaniu pracy... Którą, jak widać, znalazła.

– Kochałeś ją, Karol...

Patrzę Szeryfowi prosto w oczy. Chcę, żeby już wyszedł, nie grzebał w przeszłości.

– Kochałeś tak jak ja. Była dla ciebie jak siostra.

Nie była. Zawsze chciałem czegoś więcej.

Długo cierpiałem, gdy stary znajomy po raz pierwszy wysłał mi linki do tych filmów. Pamiętam, jak bardzo go to śmieszyło. Jego i wielu innych... Mnie nie było do śmiechu, choć wydaje mi się, że czułem tylko ułamek tego, co musi czuć teraz Szeryf. Mam mu za złe, że znowu to we mnie uruchomił. Wspomnienia zaczynają śwędzić jak stara rana.

– Niby jak miałbym tu pomóc? – pytam w końcu szorstko, żałując, że w ogóle otworzyłem te przeklęte drzwi. Czasem, gdy puka przeszłość, lepiej po prostu udawać, że nas nie ma.

– Jesteś komputerowcem. Możesz znaleźć nazwiska gości z filmu, adresy? Cokolwiek, co pozwoli nam skurwieli namierzyć.

To, że pracuję przed komputerem, nie czyni mnie „komputerowcem”, ale Szeryfowi zdaje się to nie robić żadnej różnicy. Całymi dniami przepisuję z umów i wklepuję do tabelki dane klientów parabanku. Ludzi wystarczająco naiwnych, żeby dać się naciągnąć na nasze „okazyjne pożyczki”. Na podstawie danych z tych umów równie dobrze mógłbym sobie dorabiać na boku i pisać z wyprzedzeniem nekrologi przyszłych wisielców do gazet.

– Namierzyć? – pytam po chwili. – Po co chcesz ich namierzyć?

– Muszą wiedzieć, gdzie jest Natałka. Karol, czas zabrać ją do domu. – Szeryf nieustannie pociąga mnie za rękaw koszulki.

– I co potem?

– Co potem?

– Nawet gdyby udało się namierzyć autorów filmu. Co wtedy?

– Najpierw dowiemy się, gdzie jest moja córka. Potem ich pozwę, zaprowadzę na policję, nie wiem... Wymyślimy coś.

Ciągle używa tego „my”, co zaczyna działać mi na nerwy. Myśli, że już mnie w to wciągnął.

– Rysiek, jest już bardzo późno. Muszę... Obaj musimy rano wstać.

– Ja nie muszę. Nie wrócę tam. Nie wrócę do pracy.

– Jak to?

– Jak mam wrócić, Karol? Jak mam wrócić, mając świadomość, że wszyscy już to widzieli? – Szeryf patrzy na mnie zza tafli łzawego szkła pokrywającej właśnie jego oczy. Zachowuje się, jakby naprawdę oczekiwał odpowiedzi. – Widzieli ją... Widzieli całą...

– Ja...

– Masz rację, Karol. – Odchrząkuje, jakby nagle oprzytomniał. Zagląda do pustej butelki na biurku, po czym z rozczarowaniem przesuwa ją nieco dalej. Wreszcie wstaje. Nie patrzy mi w oczy. – Masz rację. Chyba powinienem się prześpać. Ty... Ty też. Masz w końcu własne życie i nie możesz jutro zawalić pracy...

– Panie Ma... Rysiek. Chciałbym pomóc, ale nie wiem jak. Nie wiem, jak miałbym ich... Jakbym miał kogokolwiek namierzyć.

– Nie przejmuj się, Karol. Wybacz staremu sąsiadowi to całe nocne najście. Sam nie wiem, co we mnie wstąpiło. Musiałem... Musiałem za dużo sobie gołnąć i... Kurwa, jako jedyny wpadłeś mi do głowy. Sam nie wiem, jak to tak wyszło... Przepraszam.

– Rysiek...

– Pójdę już.

Szeryf wstaje i pośpiesznie wciska się w przemoczony płaszcz. Odprowadzam go do drzwi i po cichu naciskam na klamkę.

Nie patrzymy sobie w oczy. Robię przejście, pozwalając mu precyzyjnie się na klatkę. Pomarańczowe światło rzuca jego cień na odrapane, łuszczące się ściany. Szeryf stoi tak przez chwilę plecami do mnie. Nie wiem, czy zaraz ruszy w dół schodów, czy będzie chciał jeszcze coś powiedzieć, więc nie zamykam drzwi, czując, że byłoby to nieuprzejme.

– Byłeś tym jedynym – odzywa się w końcu, odwracając się w moją stronę. Dopiero w pełnym świetle dostrzegam, jak bardzo jest pijany.

– Słucham?

– Zawsze myślałem, że wyjdzie za ciebie za mąż, wiesz? Byłeś chyba jedynym chłopakiem w okolicy, co do którego dostałaby ode mnie pełne błogosławieństwo. Ja... Ja ci kibicowałem.

Czuję, jak olbrzymi gul staje mi w gardle. Nie wiem, co powiedzieć.

– Dobranoc, Karol.

– Dobranoc – odpowiadam w końcu, a moje spóźnione pożegnanie rezonuje po pustej klatce schodowej, odbijając się od ścian i docierając aż na sam dół jak upuszczona kauczukowa piłeczka. Słyszę oddalające się, alkoholowo-nieregularne kroki, później trzask, a potem już tylko ciszę.

Zamykam drzwi.

* * *

Kręcę się w łóżku już trzecią godzinę, nie mogąc zasnąć. Wizyta Szeryfa wywołała lawinę myśli. Odtwarzam ją w głowie jak film. Co kilka minut zerkam na leżący obok telefon i sprawdzam godzinę, po cichu licząc na to, że czas się zatrzymał i zdążę jeszcze wypocząć przed dźwiękiem budzika. Światło ekranu wypala mi gałki oczne. Dochodzi czwarta, a ja mam wrażenie, że jeśli nie prześpię kolejnej godziny, to dzisiejszy dzień będzie moim ostatnim. Padnę na zawał najpóźniej przed szesnastą.

Sen zdaje się wymykać za każdym razem, gdy czuję, że jestem już blisko i niemal mogę go uchwycić. Kształty i kolory wirują mi przed oczami. Otepienie rozlewa się po całym ciele, zalewając mnie uczuciem gorąca, jakby zamiast krwi w żyłach krążyła wrząca woda. Oddychanie przychodzi z coraz większym trudem.

Po chwili stoję w przedpokoju znanego mi dobrze domu. W powietrzu unosi się chemiczny zapach środków do czyszczenia. W środku jest tak czysto, że aż wręcz sterylnie. Mam wrażenie, że jak zawsze wszedłem bez pukania. Przez chwilę

czuję dziwną pustkę, nikt nie wyszedł mi na powitanie. Zaczynam się pocić, jakby ktoś podkręcił kaloryfery tak mocno, że aż urwały się gałki.

Na ścianie dostrzegam zdjęcie. Już je widziałem, wiele razy. Rodzina w parku. Matka, ojciec i córka. Kobiety ubrane w śnieżnobiałe suknie. Mocno się skupiam, starając się rozpoznać osoby na fotografii, ale im bardziej się staram, tym bardziej twarze się rozmazują.

Podchodzę, starając się dotknąć zdjęcia, ale wtedy dostrzegam coś dziwnego. Mały szarawy punkt na twarzy dziewczynki. Gdy przyglądam się mu bliżej, widzę, jak się żarzy. Niczym końcówka papierosa. Powoli rośnie, stopniowo zawłaszczając całą fotografię, która po chwili rozsypuje się po podłodze jak popiół.

W końcu czuję, jak coś pęka mi w głowie, więc odwracam wzrok od zdjęcia i zdaję sobie sprawę, że dookoła wszystko płonie. Ściany, podłoga, sufit – wszystko zalane ogniem. Mimo to nic się tak naprawdę nie pali. Ogień nie trawi mebli, nie rośnie w siłę. Wydaje się naturalną powłoką otaczającą wszystko dookoła.

Po chwili słyszę skrzypienie drzwi. Nagle zdaję sobie sprawę, że znalazłem się na piętrze. Jeden z pokoi przede mną powoli się otwiera, a w progu staje mała, może ośmioletnia dziewczynka.

Przestrzeń za nią wygląda tak znajomo. Plakaty na ścianach, olbrzymi miś wciśnięty w kąt i bijąca po oczach jaskraworóżowa pościel. Ogień zdaje się szaleć w pokoju za nią dużo mocniej niż tutaj. Mała przez chwilę patrzy w płomie-

nie przed sobą, jakby zastanawiała się, czy może bezpiecznie wyjść na korytarz. W końcu daje krok do przodu. Panicznie rzucam się przed siebie, próbując ją przed tym powstrzymać, ale jest już za późno. Dziewczynka przechodzi przez ścianę ognia i jak gdyby nigdy nic staje przede mną.

Patrzę na dorosłą kobietę. Krwistoczerwone włosy opadają jej na barki, falując jak wzburzone morze. Szafirowe oczy i blizna, bliźniacza do mojej... Patrzy na mnie, jakby zobaczyła ducha.

Wciąż ma na sobie kolczyki, które jej kiedyś dałem. Dwa małe srebrne serca, puste w środku. Należały do mojej matki. Po jej śmierci podarowałem je Natalce. Miały ją pocieszyć, gdy zobaczyłem, jak smutna jest, gdy patrzy w lustro.

Gdy patrzy na swoją bliznę...

– Natalia... – rzucam szeptem.

– Karol? – pyta dziewczyna, mrużąc oczy. – Nie słyszałam, jak wchodzisz, wybacz.

Przez chwilę milczymy. Wokół nas szaleją płomienie.

– Po co przyszedłeś?

W jej głosie wyczuwam wyrzut.

– Chciałem... Chciałem cię stąd zabrać.

– Zabrać?

– Tak.

– Niby dokąd?

– Pójdiesz ze mną?

– Nie uważasz, że na to już za późno? Dokąd mielibyśmy pójść? Mamy tylko osiem lat... Nie mamy dokąd uciec.

– Nieprawda. Jesteśmy już dorośli. Możemy...

– Nic nie możemy. Nic się nie zmieniło.

Spuszczam głowę, nie potrafię dalej patrzeć w te chłodne jak lód oczy.

– Myślisz, że możesz mnie ocalić? – pyta po chwili z wyrzutem. – Co możesz mi dać, Karol? Miłość? Bezpieczeństwo?

– Ja... – Przez chwilę próbuję na nią spojrzeć, ale szalejąca w korytarzu gorące powietrze bucha mi w oczy. Łzy ciekną mi po policzku, odwracam twarz, nie chcąc, żeby to zobaczyła i pomyślała, że płaczę.

– Tak myślałam...

Po chwili czuję uścisk. Natalia mnie obejmuje. Odczuwam ciężar jej głowy na barku. Gładzę ją po długich ognistych włosach. Są gładkie, przechodzą mi między palcami jak jedwab. W okolicy szyi coś wyczuwam. Jakieś zgrubienia pod opuszkami. Zagarniam na bok kosmyki włosów, gdy nagle słyszę, jak zaczyna szeptać:

– Nie jesteś bohaterem, Karol...

Przyglądam się jej długiej szyi. Coś jest na niej odcisnięte, głęboko jak ślady bieżnika w błocie. Fioletowo-czerwony krwiak okala jej kark jak naszyjnik – ślad po sznurze.

Czuję, jak zapiera mi dech w piersiach. Przerażony odpycham ją od siebie.

Natalia wygląda, jakby opadała z sił. Rzuca mi ostatnie spojrzenie, po czym odwraca się i rusza z powrotem w stronę pokoju. Ściana ognia zdaje się powoli za nią zamykać. Nie chcę, żeby odeszła, chcę powiedzieć coś, co zatrzyma ją jeszcze choć na chwilę.

– Wszystko płonie – stwierdzam, obserwując buchający ogień.

Dziewczyna przystaje, po czym zerka na mnie przez ramię. Wkłada dłoń w płomienie przed sobą. Przez chwilę jakby się nimi bawi.

– Też to widzisz, hm? Zawsze widziałeś... Chociaż udawałeś, że nie.

– Natalia, chodźmy stąd...

Natalia znika w płomieniach, które zaczynają wypełniać korytarz z coraz większą mocą. W końcu dostrzegam czerń na ścianach. Tapeta odchodzi zwęglonymi płatami. Popioły wirują w powietrzu jak śnieg. Przez chwilę zastanawiam się, czy biec za nią, czy uciekać, ale w koszmarze każdy wybór, jakiego dokonasz, jest zły. Odwracam się i biegnę w stronę drzwi wyjściowych, ale gdy łapię za klamkę, okazują się zamknięte. W końcu ogień dociera i do mnie. Skóra łuszczy się i czernieje, odchodząc od ciała. Gdy spoglądam na dłoń, dostrzegam biel kości, wystających spomiędzy stopionego mięsa.

Zaciskam pięść.

Czy mogłem ją ocalić?

ROZDZIAŁ DRUGI

Za oknem wciąż szumi.

Dzień jak zawsze zaczynam od solidnego kubka kawy. Dziś nie kończy się na jednym, potrzebuję dolewki. Mam wrażenie, że mózg przyćmiewa gęsta mgła. Najprostsze czynności przychodzą z dużym trudem. Ciągłe myślę o tym, co wydarzyło się w nocy.

Zazwyczaj sen pozwala postawić kropkę na końcu zdania. Zasypiamy, kończymy rozdział, a gdy wstajemy, problemy wczorajszego dnia wydają się już takie odległe – jakby dotyczyły kogoś innego, nie nas.

Tylko że dziś mam wrażenie, że prawie wcale nie spałem. Wczorajszy dzień się nie skończył, zachował swoją ciągłość. Nocny odpoczynek był zaledwie przecinkiem, nie kropką.

Zanim zbiorę się do pracy i wyjdę na przystanek, zawsze siadam do komputera. Mój codzienny rytuał – przeglądam poranne newsy, pojąc mózg kofeiną, i z rozczarowaniem dowiaduję się, że świat wciąż stoi. Nie spłonął, chociaż nieustannie płonie.

Nie robię tego, żeby się czegoś dowiedzieć. Nie szukam też tematów do rozmów w pracy. Polityka, konflikty i pikantne szczegóły z życia celebrytów nigdy mnie jakoś szczególnie nie interesowały. Sprawdzając poranne wiadomości, po prostu upewniam się, czy jest sens wychodzić dziś z domu.

Ten dzień niczym się nie różni – muszę się upewnić. Biorę łyk kawy i siadam przy biurku. Rząd pustych butelek po piwie sprawia, że mam ochotę dolać do napoju trochę prądu. Jeszcze nigdy tego nie zrobiłem, za bardzo boję się, że mnie wyleją, jak tylko ktoś zauważy. Choć z drugiej strony o ile łatwiej byłoby znieść nadchodzące osiem godzin...

Otwieram laptop. Moim oczom nie ukazuje się pulpit, czego normalnie bym się spodziewał, tylko zapauzowany wczoraj film. Szeryf zatrzasnął kłapę dokładnie w momencie, w którym padło zbliżenie na jej twarz. Natalia patrzy na mnie z ekranu, a ja uświadamiam sobie, że dokładnie taką widziałem ją we wczorajszym śnie. Czyli jednak udało mi się na chwilę zasnąć...

Za oknem grzmi. Mrok nocy nie zdążył jeszcze do końca się rozproszyć, przez co mój pokój jaśniej od błyskawic.

Serce gwałtownie przyspiesza, pobudzając mnie lepiej niż kawa. Drżącą dłonią staram się najechać myszką na czerwony krzyżyk w prawym górnym rogu ekranu, ale w ostatniej chwili coś mnie powstrzymuje. Biorę głęboki wdech i cofam filmik do początku. Przez krótki czas na ekranie miga plansza z nazwą wytwórni – Sliders Productions – po czym kamera znowu pokazuje mi brudną piwnicę. Patrząc na to z samego rana, przy pierwszej kawie, czuję się jak ostatni zbok, więc szybko zatraskuję kłapę laptopa. Nie chcę widzieć, co przyniesie ciąg dalszy.

Przez chwilę gapię się w pustą przestrzeń przed sobą i odpływam myślami do wczorajszej wizyty Szeryfa. Chciał mojej pomocy. Wyglądał na ostatniego desperata – takiego, co

dynda stopami, siedząc na krawędzi mostu. Nie mam pojęcia, czemu przyszedł z tym akurat do mnie. Czemu miałbym się w tym babrać, skoro nie miałem kontaktu z jego córką już tyle lat? Już nie jesteśmy przyjaciółmi, nie dzwonimy do siebie, nie spotykamy się na piwo... Normalnie powiedziałbym, że nie mam w tej sprawie najmniejszego interesu, ale to, co Szeryf powiedział tuż przed wyjściem. Sam nie wiem...

W końcu uznaję, że nie zaszkodzi trochę poszperać. Nic mnie to nie kosztuje – nic poza tymi trzydziestoma srebrnikami, które płacę miesięcznie za internet. Już zabieram się do odpalania przeglądarki, żeby wygooglować coś na temat tego całego Sliders Production, gdy mój wzrok przelotnie pada na komputerowy zegar.

Zrywam się z krzesła i pędzę na przystanek. Irytujący deszczyk siąpi z nieba jak tysiące drobnych szpilek uparcie próbujących wcisnąć mi się w każdą niezasłoniętą szczelinę ciała. Biegając, rozchlapuję kałuże na chodniku. Ołowiane niebo wisi nade mną tak nisko, że niemal czuję jego ciężar, i z trudem unoszę głowę, by spojrzeć na przystanek – transport odjechał. Cały ten sprint na nic. Tylko niepotrzebnie się upociłem.

Odczekuję swoje i wsiadam do kolejnego tramwaju. W oczach podróżujących o tej porze ludzi jest tyle życia, co w zużytej prezerwatywie. W powietrzu czuć wilgoć wnoszoną do środka na kurtkach i płaszczach. Nie ma mowy o tym, żeby usiąść. Na taki luksus musiałbym się pofatygować pewnie aż na samą pętlę, a i tak szybko uległbym presji wstających z pierwszym pianiem koguta starszych pań, jadących Bóg wie

gdzie i Bóg wie po co. Te kobiety są jak jakieś pieprzone mentalistki – wbijają w ciebie wzrok i już wiedzą, co zaraz zrobisz. Wiedzą, że wstaniesz i ustąpisz miejsca.

Przyciskam się do szyby, pchany coraz mocniej przez napierający na wejście tłum. Wagon pęka w szwach. Na kilka przystanków przed centrum nie wciśniesz między nas nawet żyletki. Nadludzkim wysiłkiem wyciągam z kieszeni telefon i przyciskając go sobie do klatki, nadwyrężam szyję, żeby spojrzeć w ekran. Odpalam przeglądarkę i ponownie wstukuję nazwę wytwórni w Google. Ku mojemu zdziwieniu Sliders Production ma nawet swoją stronę internetową.

Niewiele myśląc, klikam link i przenoszę się na zaprojektowaną po taniości czarną stronę. Wśród rzucających się w oczy elementów króluje czerwony font i dziesiątki zdjęć promujących ich najnowsze filmy. Nigdzie nie widzę twarzy Natalki.

Zanim zdążę mocniej zgłębić zawartość strony, słyszę, jak ktoś za mną mocno odchrząkuje. Odwracam się i uderzam w spojrzenie jakiejś kobiety jak w betonowy mur. Ubrana w żakiet businesswoman ruga mnie wzrokiem i z niedowierzaniem kręci głową. To chyba przez tę spowodowaną niewyspaniem mgłę, ale chwilę zajmuje mi zrozumienie, o co jej chodzi. Jak rażony piorunem zdaję sobie sprawę, że przez cały czas gapiła mi się w telefon. Fala wstydu napiera mi na twarz wraz z krwią. Uszy robią się czerwone i gorące jak dwa kaloryfery. Upokorzony chowam telefon do kieszeni i wbijam wzrok w pędzące po szybie krople deszczu. Stoję tak sztywno aż do końca.

Tramwaj wymiotuje masą ludzką w samym centrum – mój przystanek. Naciągam kaptur kurtki niemal na same oczy i pędzę w stronę wyrastającego przede mną wieżowca. Jestem już spóźniony.

Wtaczam się do środka. Zimnoniebieskie futurystyczne lobby co rano przypomina mi, czemu nienawidzę tej pracy. Wszystko w środku wyprane jest z kolorów, jakby ktoś wysał stąd całe życie i zostawił tylko jałową pustkę. Stal i szkło – jak cokolwiek mogłoby żyć w takich warunkach?

Przeciskam się przez masę identycznie ubranych ludzi do bramek bezpieczeństwa prowadzących do wind. Niewyspanie i ta cholerna mgła znów dają o sobie znać. Jak ostatni idiota ładuję się na zamkniętą bramkę, zapominając o przyłożeniu do czytnika karty. Gdy tak desperacko grzebię w plecaku, szukając przepustki, czuję na sobie oddech kolejnych nieszczęśników spieszących się do pracy.

– Jakiś problem? – Słyszę głęboki chrypliwy głos dochodzący mnie gdzieś z boku. Podnoszę głowę. To ochroniarz.

– Nie mogę znaleźć karty – odpowiadam, przekładając w plecaku masę gratów, co do których nie mam pojęcia, po co je w ogóle ze sobą noszę. Uderza mnie wspomnienie kawałka plastiku ze zdjęciem mojej gęby leżącego na szafce przy drzwiach. Jak mogłem jej zapomnieć? Jeszcze mi się to nigdy nie zdarzyło.

– Bez karty pan nie przejdzie.

– Wiem o tym, ale...

Facet patrzy na mnie, jakbym coś kombinował. Jakbym pchał się do tego przekłętego biura z innego powodu niż praca.

Po co miałbym się włamywać? Żeby pozwiedzać? Przebieram rękami coraz bardziej nerwowo, ale nigdzie nie widzę karty...

– Proszę się zgłosić do stanowiska ochrony z dokumentem tożsamości. Moi koledzy potwierdzą, że może pan wejść, i dostanie pan jednorazową przepustkę.

Zerkam na kolejkę do stanowiska ochrony. Podobnych mnie jest dziś widać znacznie więcej. Jeśli mam stać dwadzieścia minut po jednorazówkę, to równie dobrze mogę wrócić się do domu. Szef jest bezlitosny w kwestiach spóźnień.

– Widzi pan, jaka tam kolejka? – pytam, przyjmując błagalny ton. – Pracuję tu. Chyba mnie pan kojarzy, co? Mijamy się co rano. Nie dałoby się po prostu otworzyć bramki? Jestem już spóźniony.

Ochroniarz napina się jak struna – włączony tryb służbiisty. Już wiem, że na nic moje prośby.

– Zdaje pan sobie sprawę, ile osób mijają tu co rano? Myśli pan, że was wszystkich pamiętuje? Jakbym miał tak niesamowitą pamięć, nie pracowałbym w ochronie.

– Ja jakoś pana zapamiętałem.

– Ale ja jestem tylko jeden, was tu pracuje tysiące. Wszyscy wyglądacie tak samo. Macie nawet ten sam wyraz twarzy. Proszę nie blokować przejścia, tylko udać się do stanowiska ochrony. W przeciwnym razie...

– Daj spokój, Gieniu! – Słyszę głos nadchodzący z drugiej strony. Znajomy głos... – Puść chłopaka. Na moją odpowiedzialność.

Odwracam się w kierunku niespodziewanego sprzymierzeńca. To Szeryf. Stoi tuż przy windach w pozie, której

zawdzięcza całą tę ksywę. Dumnie pręży pierś z naszywką z logo firmy ochroniarskiej i wciska kciuki za pas z okazałą klamrą, na którym zamiast kabury z rewolwerem wisi mu jedynie krótkofalówka. Wygląda, jakby szykował się na pojedynek w samo południe. Puszcza mi oko, gdy nasze spojrzenia się spotykają.

– To wbrew regulaminowi! – odpowiada mu służbista, krzycząc przez ramię.

– Będiesz dyskutował z dowódcą zmiany?! Puść chłopaka, mówię!

Służbista wzdycha, po czym wciska przycisk zwalniający kontrolę dostępu. Pędzę w stronę wind, ale żeby wjechać na swoje piętro, muszę jeszcze minąć Szeryfa. I w normalnych warunkach byłoby niezręcznie, a teraz jeszcze spieszy mi się do pracy.

– Kiedyś nie byłoby dyskusji. Chłopaki tracą do mnie szacunek... – wzdycha Szeryf cicho, patrząc surowo wokół.

Muszę przyznać, że jestem w niemalym szoku. Kompletnie nie widać po nim wczorajszej nocy. W czujnych oczach nie dźwięczą echa wypitej wódki. Miałem poważne wątpliwości, czy w ogóle pokaże się dziś w pracy, a ten sukinsyn stoi przede mną świeży jak skowronek.

– Panie Mako... Rysiek. – Wzywam windę, wbijając wzrok w posadzkę. – Co do wczorajszej nocy...

– Zapomnij, młody. Chwila słabości, to tyle. Leć na górę. – Rzuca mi serdeczny uśmiech, ale widzę, ile wysiłku go kosztował. – Spóźnisz się, to będziesz miał kłopoty.

Donośny brzdęk zwiastuje otwarcie windy. Z szacunkiem pozdrawiam Szeryfa skinieniem głowy, zadowolony, że

udało mi się uniknąć niezręcznej konwersacji, po czym ładuję się do środka, mijając wysiadających na parterze ochroniarzy. Tuż przed zamknięciem drzwi słyszę jeszcze, jak chichoczą, mijając swojego dowódcę. Robota w takich warunkach musi go kosztować wiele sił. Chyba serio robi mi się go żal...

Wypadam z windy jak oparzony i ruszam w stronę open space'u. Otaczające mnie szklane ściany całe spływają deszczem, sprawiając, że czuję się trochę jak w akwarium. W środku panuje absolutna cisza. Co jakiś czas ktoś jedynie postuka w klawiaturę albo w oddali zabrzączy drukarka. Nie pracuje nas tu wielu, więc nie ma szans, żeby moje spóźnienie przeszło niezauważone.

Przemykam, podnosząc wysoko barki, jakbym myślał, że będę przez to mniej widoczny. Niepotrzebnie – nikt nawet nie patrzy w moją stronę. Siadam do biurka i jak najszybciej dobieram się do klawiatury, żeby wyglądać na zmotywowanego do szybkiego nadrobienia zaległości. Samego czytania maili, które wpadły na moją skrzynkę przez weekend, wystarczyłoby na kilka godzin ciężkiej harówki. Czy ci ludzie nie mają życia poza pracą? Kto wysyła maile w weekend?

Odhaczam wszystkie jako przeczytane, głównie po to, żeby nie słyszeć narzekań szefa, gdy stanie mi za plecami i zobaczy te wszystkie wiadomości. Zajmę się nimi potem, teraz co innego zajmuje mi myśli. Zresztą jestem tak niewyspany, że przed trzecią kawą i tak czytałbym to samo zdanie w kółko i w kółko, nie rozumiejąc ani słowa.

Sam nie jestem pewien, jak do tego doszło, ale znowu ładuję na tej czarnej stronie z obrzydliwym czerwonym fontem,

który dziwnie kojarzy mi się z przesadnie wymalowanymi szminką ustami. Może taki był zamiysł grafika. Rozglądam się nerwowo dookoła, tym razem przytomnie sprawdzając, czy nikt nie zerka mi w ekran, i gdy mam pewność, zaczynam przeglądać dalej.

Skroluję w dół strony, szukając jakichkolwiek informacji o producentach albo aktorkach. Staram się nie zatrzymywać wzroku na fotografiach naplutyh wszędzie dookoła. Gwiazdy porno ze zrobionymi piersiami i ustami, jakby przyssały się do odkurzaczy. Albo strona nie była aktualizowana od zarania dziejów, albo ktoś tu przegapił moment, w którym facetom zmienił się gust. Nie wiedzą, że teraz w modzie są dziewczyny z sąsiedztwa?

W końcu na samym dole zdającej się ciągnąć w nieskończoność strony znajduję informacje o stojącej za tym wszystkim firmie. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to po prostu skopiowanie jej w przeglądarkę i zobaczenie, co ma mi do powiedzenia KRS. Gdy dowiaduję się, że jest zarejestrowana w Stanach Zjednoczonych, nie jestem nawet rozczarowany. To nie mogło pójść tak łatwo.

Wracam na stronę i szukam dalej. Ze swojego biurka, przez przeszkłone drzwi do jego biura, widzę kręcącego się niespokojnie w fotelu szefa. Wiem, że to oznacza tylko jedno – zauważył, że się spóźniłem, i aż go świerzbi, żeby wstać i zapytać mnie o przyczynę. Najwyraźniej teraz próbuje zmotywować się do działania i układa sobie w głowie scenariusz rozmowy. Przez ostatnie dwa lata wyryłem sobie w mózgu jego mowę ciała na tyle dobrze, że jestem w stanie przewidzieć każdy ruch tego czepliwego gnoja.

Najwyraźniej jestem nieomylny, bo widzę w odbiciach jego za dużych okularów, że wygasił ekran monitora. Szybko zamykam stronę Sliders Production i odpalam maile. Nie mija chwila, a czuję mieszaną potu z Dior Sauvage wirującą w powietrzu gdzieś nad moją głową. Przez chwilę staram się go ignorować, ale zaczyna irytująco odchrząkiwać.

– Tak? – Podnoszę głowę.

– Coś się stało? – pyta przyszczaty dwudziestoparolatek, utrzymując dziwnie nienaturalny kontakt wzrokowy.

Dobrze wiem, co myśli, że robi. Myśli, że ustanawia dominację na linii szef–podwładny. Widziałem na jego biurku książki z mowy ciała w biznesie. Efekt sprawia niestety wrażenie ofiary nagłego ataku ostrej biegunki.

– Uciekł mi tramwaj – odpowiadam, ponownie kładąc wzrok na ekranie monitora. Wiem, że go to irytuje, bo znowu zaczyna niespokojnie odchrząkiwać.

– Może warto przemyśleć wstawanie na wcześniejszy?

– Może warto.

– Karol, mam wrażenie, że jesteś dzisiaj jakiś wrogi. Nie odbieraj tego jako czepianie się. Muszę dbać o to, żeby wszyscy przychodzili na czas. Jak poczują się twoje koleżanki i koleżdy, jeśli dowiedzą się, że Karol mógł sobie dziś pospać dłużej niż oni i nie poniósł z tego powodu żadnych konsekwencji, co? Zaraz będę miał tu falę spóźnień, bo ludzie zaczną to uważać za naturalny stan rzeczy. Nie możemy się spóźniać, Karol.

– Już się stało, nie za bardzo wiem, co teraz mógłbym z tym zrobić. Postaram się, żeby to się więcej nie powtórzyło.

– Dziękuję. Dokładnie o to chodzi. Oprócz tego zostaniesz dziś po godzinach. Piętnastominutowe spóźnienie odpracowujemy jako pełną godzinę.

– Od kiedy?

– Od dziś. Karol, skup się, proszę. Pracujesz tu najdłużej. Góra poprosiła, żebym wyznaczył kogoś do awansu. Jesteś naturalnym wyborem, ale z takim podejściem... Jak mam wybronić tę decyzję, co?

– To się już nie powtórzy, szefie. Słowo honoru. A teraz, jeśli szef pozwoli, chciałbym już wrócić do pracy...

– Naturalnie... Oczekuję, że do śniadania zamkniesz przynajmniej trzy case'y. Nie zawieź mnie, Karol. Potrzebuję tu zmotywowanych ludzi.

Nie odpowiadam, tylko kiwam delikatnie głową. Dyskusja byłaby tu bezcelowa. I tak w końcu wyszłoby na jego. Szef patrzy na mnie jeszcze przez chwilę z jakimś dziwnym rozczarowaniem w oczach, po czym odchodzi pozagadywać do pozostałych.

Wracam na pornostronkę. Żadnych więcej odnośników, żadnej zakładki do kontaktu. Nie mam wyjścia – muszę przebrnąć przez tę ścianę czerwonego tekstu. Nic interesującego, jedynie kilkudzaniowe opisy filmów i dane do wykupienia abonamentu premium... Ale na samym dole jest coś jeszcze... Adres mailowy i zachęta do kontaktu w sprawie pracy.

Domyślam się, że nie szukają specjalisty od bezmyślnego przepisywania danych z fizycznych kartek do systemu. Nieco niżej jest dopisek, że nie odpowiadają na zapytania bez załączonych zdjęć. To niemal na starcie zabija pomysł, jaki wy-

kielkował mi w zaćmionym brakiem snu umyśle. Chciałem zgłosić się do pracy, licząc, że dostanę jakieś dane kontaktowe dla Szeryfa. Adres, numer telefonu, cokolwiek... Cokolwiek, co da mi poczucie, że nie zostawiłem człowieka na lodzie... Poczucie, że pomogłem. W końcu stwierdzam, że co mi tam. Wysyłam maila bez zdjęć, najwyżej nie odpiszą. Po wszystkim wracam na stronę i przyglądam się pozostałym fotosom. Staram się znaleźć na nich Natalię.

– Hej, Scarface! – Czuję klepięcie w bark i towarzyszący mu głos jednego z moich współpracowników. Choć on pewnie użyłby określenia „kolega”.

Sytuacja, w jakiej mnie zastał, sprawia, że ze strachu aż podskakuję. Drżącą dłonią staram się najechać na czerwony krzyżyk w prawym górnym rogu. Odwracam się, gdy ekran znowu wypełniają nieodczytane maile.

– Krzysiek... – Zdaję sobie sprawę, że robię minę, jakbym właśnie przegryzł ćwiartkę cytryny. Zastanawiam się, czy widział...

– Chłopie, co ty taki nerwowo? W tej robocie na spokojnie trzeba! – Ulizany jakąś tanią pomadą, współpracownik ponownie klepie mnie w ramię. – Widziałem, że przyszczaty cię odwiedził. Co mówił? Ojebał cię za to spóźnienie, co?

Nie odpowiadam, robię jedynie niewiele mówiący grymas.

– Dobra, wiesz co, opowiesz przy kawie. Lecę na śniadanie. Idziesz ze mną?

– Nie wiem... Powiedział, że do śniadania mam klepnąć trzy case'y.

– Chłopie, chcesz, żebym jadł sam? Nie słyszałeś, że je-
dzenie w samotności to prosta droga do depresji? Poza tym
mając widownię, mniejsza szansa, że wybiorę coś obrzydliwie
tłustego i niezdrowego. – Krzysiek gładzi się po brzuchu, jak-
by był w zaawansowanej ciąży. – Bo będzie mi wstyd przed
tobą, Karol. Jak pójdę sam, to pewnie skończy się na śniada-
niowym burrito. A ja chcę czegoś zdrowego! Chcę czuć wstyd,
Scarface!

Zaczyna trząść moim krzesłem, zwracając na nas uwa-
gę całego biura. Całe to zachowanie i robienie z siebie debila
działa mi na nerwy, ale faktycznie jestem już cholernie głodny
i przydałby mi się kolejny kubek mocnej kawy – czegoś, co
powstrzyma opadającą głowę jeszcze przez kilka godzin.

– To jak będzie?

– Chodźmy.

* * *

Nie musimy iść daleko. Na parterze naszego wieżowca
jest sieciowa kawiarnia, o tej porze pękająca w szwach, ale
mało kto je w środku – większość przychodzi po prostu na-
pełnić tekturowy kubek kawą i czym prędzej ucieka na górę.

Po odstaniu swojego w kolejce zamawiamy dwa śnia-
dania i po kubku gorącej kawy. Biorę śniadaniowe burrito
i flat white, bo jedyna kawa, jaką uznaję, to ta na podwójnym
espresso. Krzysiek poprzestaje na americano i jakiejś bagietce
z warzywami. Bez trudu znajdujemy wolny stolik, stukamy
się tekturowymi kubeczkami, jakbyśmy wznosili toast, po
czym wgrzamy się w nasze kanapki jak wygłodniałe bestie.

– To o co z tym chodziło? – pyta Krzysiek, mieląc w ustach suchą bagietkę. Patrzy na moje śniadanie niemal ze zwierzęcym pożądaniami. Nie rozumiem czemu, przecież mógł zamówić to samo...

– W sensie?

– Co chciał przyszczać?

– Muszę dziś zostać godzinę dłużej. Nowa polityka firmy, podobno wszystkie spóźnienia powyżej piętnastu minut odpracowujemy teraz jako pełną godzinę.

Krzysiek kiwa głową, zwieszając usta w podkowę, ale w oczach nie widzę współczucia.

– Pojebało ich już do reszty? Przecież spóźniłeś się tylko szesnaście minut.

– Szesnaście?! Co ty, liczyłeś?

– No, zerknąłem na zegarek, zaraz po tym, jak wszedłeś... I tyle, nic więcej nie mówił? Chwilę tam nad tobą stał...

– Nic więcej.

– Wiesz, że niedługo przenoszą go wyżej? Zostanie prawą ręką ojca.

– No, słyszałem.

– Będzie wakat na jego stanowisko. Ciekawe, czy już kogoś wybrali. Ty pracujesz najdłużej. Pewnie byś chciał...

Kiwam przecząco głową, siorbiąc kawę.

– Co? – pyta Krzysiek, wyraźnie ożywiony.

– Nie zależy mi.

– Serio? Ja tam jestem zdania, że skoro siedzę tu już ponad rok, to teraz już tylko wóz albo przewóz. Albo spierdalać

w inne miejsce, albo się piąć. Jeśli mi zaoferują, to nie odmówię.

– Skoro tak mówisz. Ale faktycznie coś wspomniał, że pracuję tu najdłużej i że to mnie poleci na swoje stanowisko.

– Serio?! – Krzysiek zachłysnął się kawą. Barista ścina nasz stolik wzrokiem, jakby zastanawiał się, czy będzie potrzebna pomoc medyczna. Daję mu znak dłonią, że wszystko jest OK. – Ja... Ja myślałem, że sprawa jest ciągle otwarta i że teraz non stop nas oceniają. Dlatego patrzyłem w zegarek na twoje spóźnienie, bo bałem się, że zaspaleś czy coś i zaraz miałem po ciebie dzwonić. Wiesz... Bałem się, że stracisz przez to jakieś punkty.

– Dzięki, stary. Zwyczajnie się zasiedziałem rano, potem uciekł mi tramwaj.

Krzysiek nachyla się bliżej mnie, zaczyna szeptać.

– Ale co... Mówisz, że nie weźmiesz?

– Nic nie mówię.

– No, ale powiedziałeś, że ci nie zależy.

– Bo nie zależy. Ale jak zaoferują, to pewnie wezmę. Zawsze uważałem, że więcej pieniędzy jest lepsze niż mniej pieniędzy.

– Taa... Też tak sądzę.

Zapada chwila ciszy. Obaj sączymy swoje kawy, wyglądając przez szybę na lobby wieżowca. Widzę Szeryfa patrolującego budynek. Przechadza się powoli, ale w jakiś nietypowy dla siebie sposób. Zawsze krążył w okolicach recepcji z dumą, jak gospodarz... Dziś tylko przemyka jak cień ze spuszczoną głową.

– Mijałem się z nim w kiblu – rzuca Krzysiek, przerywając ciszę.

– Z kim? Z Szeryfem?

– Noo. W ogóle pojebana sprawa. Zamknął się w kabinie i wydawał z siebie jakieś dziwne dźwięki.

– Dziwne dźwięki? – Ściszam głos do szeptu. – Może wstąpił tu rano na burrito?

– Niece, stary. To było coś innego. Mówię ci. Sam nie wiem... Fakt, że jęczał, ale w dziwny sposób. Jakby... Jakby płakał.

– Płakał?

– Mówię ci. Wydaje mi się, że zamknął się w klopie, żeby trochę sobie pobeczeć. Mało tego, jak już wylazł, to strasznie dawało od niego wódą. Myślę, że dziś pracuje na rauszu. Sam zobacz. – Kiwa głową za szybę, mając wyraźny ubaw. – Widziałeś?! Jakby się zataczał. Pojebana akcja, stary...

– Tak... Pojebana...

– I nawet nie wiem, czy na typa naskarżyć, czy mu zazdrościć. Niby odpowiada tu za bezpieczeństwo i w ogóle, więc jakby frontowymi drzwiami wpadło tu zaraz komando terrorystów, to mielibyśmy przejebane jak w ruskim banku... Ale z drugiej strony kto nie marzy o tym, żeby w poniedziałek rano trochę sobie popłakać w kiblu albo trochę sobie gołnąć, nie?

– Myślisz, że trzeźwy Szeryf uratowałby nas przed komandem terrorystów?

– To nie wiesz? Nasz Clint Eastwood był kiedyś w jednostkach specjalnych. Wiem, bo mi kiedyś opowiadał. W windzie...

Ta część życiorysu Szeryfa musiała mi gdzieś umknąć. Wiem jedynie, że kiedyś starał się dostać do policji... Z marnym skutkiem. Wycieram usta w serwetkę, po czym patrzę na zegarek. Czas wracać do pracy. Krzysiek chyba się zawiesił, cały czas gapi się na główne wejście do wieżowca.

– Ja spadam na górę – oznajmiam, wstając z krzesła. – Idziesz?

Krzysiek dyga, jakby ocknął się z transu.

– Wyobrażałem sobie, co by się działo, gdyby faktycznie doszło tu do ataku. Wiesz, jakiś aktywny strzelec czy coś. Jak myślisz, jak byś zareagował? Bohaterzyłbyś?

Nie odpowiadam. Unoszę jedynie brew w akcie niedowierzania.

– Gdzieś czytałem, że w sytuacji zagrożenia powinniśmy kierować się trzema prostymi zasadami – kontynuuje, powoli przygotowując się do wyjścia. – Po pierwsze: spierdalaj. Jak najszybciej i jak najdalej. Według tej zasady powinniśmy nie oglądać się na innych ani na swoją godność, tylko po prostu ratować własne dupska w stylu Usaina Bolta. Druga zasada jest taka, że jak nie możesz uciec, to najlepiej się schować. Trząść się sobie gdzieś cichutko w kącie i czekać, aż zagrożenie minie i potwory wpelzną z powrotem pod łóżko. A gdy pierwsze dwie zasady zawiodą, zostaje ci już tylko jedno...

Nic nie mówię. Ponownie unoszę brew, w spokoju dając mu dokończyć.

– Walka.

Obaj wstajemy i ruszamy w kierunku wyjścia. Krzysiek na pożegnanie uśmiecha się jeszcze zalotnie w stronę ładnej baristki.

– Zabawne – śmieje się Krzysiek. – Kobiety miałyby nas za wariatów, gdyby wiedziały, jak często fantazjujemy o tym, że ratujemy ludzi przed jakimś atakiem terrorystycznym czy czymś w tym rodzaju. Też tak pewnie masz, co? Gdzieś czytałem, że wszyscy faceci tak mają.

– Dużo czytasz...

– No, ale coś w tym jest, mówię ci. Wiesz, w tej chwili jestem święcie przekonany, że od razu przeszedłbym do trzeciego kroku i z gołą klatką nakurwiałbym się tu na środku recepcji z tabunem terrorystów, a na końcu te chodzące na szpilach recepcjonistki wpadłyby mi w ramiona, dziękując za ratunek... A prawda jest taka, że pewnie ścigałbym się z tobą, kto pierwszy do wyjścia ewakuacyjnego. – Klepie mnie w ramię, śmiejąc się na całe lobby. – Ech, Karol... Co to Hollywood z nami zrobiło? Pieprzony syndrom rycerza na białym koniu... Jak mamy się poczuć spełnieni jako mężczyźni, wklepując dane w jakieś cholerne tabelki? To wbrew naszej naturze...

Winda zatrzymuje się na naszym piętrze. Biuro wydaje się teraz nieco jaśniejsze, niż gdy wchodziłem do niego dwie godziny temu. Słońce zaczęło powoli wyłaniać się zza burzowych chmur. Burrito i mocna kawa sprawiły, że poczułem się już nieco lepiej. To może być jeszcze dobry dzień.

– Wiesz, co nam pozostało? Co jeszcze może dać spełnienie mężczyźnie w naszym świecie? – Słyszę głos Krzyśka, który najwyraźniej wciąż się za mną włóczy. Byłem przekonany, że już skręcił do swojego biurka.

Siadam przy klawiaturze i znowu czuję to pieprzone klepięcie w ramię. Mam ochotę mu oddać.

– Władza, przyjacielu – odpowiada na zadane przez siebie pytanie, szepcząc mi na ucho i kiwając w stronę przeszklonych drzwi managerskiego biura przed nami.

Obaj przyglądamy się, jak szef wklepuje coś na komputerze i walczy z okularami, próbując jakoś usadzić je na swoim miniaturowym nosie.

– Władza...

* * *

Świat za oknem znów ciemnieje. Słońce opada trochę niżej za każdym razem, gdy oderwę oczy od komputera i spojrzę na panoramę miasta. Dobrze, że przestało padać.

Powoli zbliżam się do końca zmiany, biuro opustoszało jakieś pół godziny temu. Zostałem sam. No, chyba że liczyć szefa wciąż tkwiącego w swoim biurze. Strasznie się wierci, ciągle się drapie i odchrząkuje. Jest bardzo nerwowy, co uznaję za dziwne zachowanie – odstępstwo od normy.

Zazwyczaj im bliżej końca zmiany, tym robi się luźniejszy. Czasem nawet zapuszcza sobie jakąś rockową muzykę. W normalnych warunkach, w ciągu dnia, pewnie bym się nad tym zastanawiał. Miałbym jakiś temat do plotek z Krzyśkiem. Ale nie teraz. Teraz jestem już zbyt zmęczony. Zbyt senny.

Zamykam ostatni case tego dnia. Myślami jestem już w swoim ciasnym mieszkaniu. Rozsiadając się wygodnie w fotelu, odkapslowuję pierwsze piwo i odpalam jakiś stary film – coś w klimatach neo-noir, może *Chinatown* z Jackiem Nicholsonem?